



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

POGA WĘDKA.

Zdaje mi się, że i mnie niema w Warszawie.

Do tego grzechu przeciw logice skłania mnie widok coraz większych luk, jakie dzisiaj już bardzo uczuwać się dają w życiu towarzyskiem i artystycznym Warszawy.

Mamy samo południe martwego sezonu; kto mógł — drapnął z miasta, omijając oile możności drogę ku niemieckiej granicy i dzisiaj odpoczywa gdzieś na łonie natury, rozkoszuje się pięknymi widokami, świeżem powietrzem górskim. kąpie ciało, albo pije wody mineralne ze samych źródlisk, lecz się lub wzmocnia, bawi po nudach, lub nudzi po zabawach warszawskich.

Czasami i ponudzić się trochę dobrze; to tak skutkuje, jak przeglądzenie, a wiadomo, że Epikurejczycy robili to dla zaostrenia apetytu i zwiększenia rozkoszy żołądka i podniebienia.

Nie żal mi dlatego tych, którzy tam gdzieś w zakątkach sielskich ziewają, nie umiejąc sobie czasu uprzyjemnić i stworzyć zajmującego zajęcia; wrócą wygłodzeni do pełnej misy, którą sezon jesienny zwykle znów zastawia dla wszystkich.

Znam ludzi, prawda, że z pewnej tylko sfery, którzy nie rozumieją, jak można kanikułę spędzić w Warszawie.

— Jabym się na śmierć zanudziła! — mówiła mi na wyjeździe piękna pani Julia, spoglądając na mnie z politowaniem, jak na skazańca, który ma być żywcem upieczony w czeluściach wielkiego pieca, zwanego miastem w miesiącach letnich.

— A ja żyć będę — odpowiedziałem z pewnością salamandry, która przez płomienie nawet przejść gotowa.

— Cóż pan tu będziesz robił, aby nie umrzeć z nudów?

— Będę pracował.

Piękna pani wydeła usteczka z grymasem; jak tu mówić o pracy kobiecie, która wyjeżdża szukać rozrywki pod pretextem, że jej to dla zdrowia niezbędne!

— Winszuję panu — rzekła po chwili.

— Czego? — spytałem złośliwie — czy tego, że potrafię, czy tego, że muszę?

— Rozumie się, że pierwszego; byłoby czego winszować, że ktoś pracować musi!...

Dzwonek kolejowy dał sygnał do wsiadania i rozmowę dalszą przerwał z nadobną wojażerką, na którą spojrzałem z prawdziwym smutkiem...

Biedaczka, należała jeszcze do tych zacofanych, które pracę uważają za ciężki obowiązek i za... wielką sztukę.

Gdyby była brzydszą i mniej zamożną, możeby przed jej przejrzała; przyrzekłem sobie za powrotem jej wznowić przerwany temat rozmowy i przekonać ją, że powinna córeczkę swą posyłać na tę pensję, na której ma być w roku przyszłym założona szkoła handlowo - rzemieślnicza dla dziewcząt.

Panience zaś daruję egzemplarz „Księżniczki”, aby wcześniej zaczęła się leczyć z przesądów mamy do pracy.

Wiadomość o takiej szkole ucieszyła mnie prawdziwie, nie dlatego, aby zakładów z takim praktycznym programem nauki u nas nie było, ale dlatego, że go tworzą w najwłaściwszych warunkach, bo nie dla dorosłych panien, które najczęściej próbują tylko zawodu i bawią się rzemiosłem, ale dla dzieci traktujących naukę jeszcze pod rygiorem obowiązku.

Im wcześniej się nagną do pracy, wzwyczają do niej, oswoją z nią, tem lepiej i korzystniej dla nich.

Znam pewnego praktycznego ojca, którego synowie oświadczyli mu kiedyś, że zamierzają po-

święcić się sztuce, czując w piersiach „iskrę Bożą”, i dlatego pragną opuścić szkołę, by nad książkami drogiego czasu nie tracić.

Stary się najprzód zżymnął, potem synom palnął moralną naukę, potem próbował po dobru przedstawiać młodzieńcom że w dzisiejszych czasach laury są otylesmaczne, oile ich można użyć, jako bobkowych liści dopiecheni, ale w końcu ustąpić musiał młodemu zapaleńcom; wtedy postawił im taki warunek:

— Dobrze, zostańcie sobie artystami, kiedy koniecznie chcecie, ale wpierrw jeden wyuczy się szewstwa, a drugi stolarstwa, albo ślusarstwa. Nie można wiedzieć, jak wam się uda ze sztuką, a wówczas dratwa i młotek naprawią to, co artystym zepsuje.

I tak się stało; chłopcy poduczili się rzemiosła, a chociaż jeden na scenie a drugi na estradzie koncertowej szuka sławy, zdaje się, że wrócą jeszcze do kopyta i kowadła, gdy ich zawiedzie sztuka, bo o ile mi sędzić wolno pomylili się na własnym talencie.

Taka praktyczna przezorność rodzicielska nigdy nie zawadzi, i radziłbym matkom naśladować owego ojca przy wychowaniu i kształceniu córek.

Nie można wiedzieć, na jakie próby los je wystawi w przyszłości, a czem więcej człowiek sam sobie radzić potrafi, tem pewniejszym może być, że z najcięższych doświadczeń wyjdzie zwycięzko.

Piękna to i najprawdziwsza była ongi zasada: „Co umiem, to najpewniej moje.”

Nie chciałbym, aby mnie fałszywie posądzano, że w tem namawianiu do praktyczniejszego wychowania naszych synów i córek mam tylko prozaiczne, materyjalne względy na oku, że mi chodzi jedynie o największy dla nich kawał chleba i mięsa w przyszłości.

Uchowaj Boże!... rozumiem ja dobrze, że w uszlachetnianiu serc i umysłów nie należy trzymać

się niskiego tylko poziomu, bo „nie samym chlebem człowiek żyje”—i nie dla samego chleba pracować powinien, ale jestem zwolennikiem równowagi dwóch zakręcowo u nas traktowanych kierunków w wychowaniu, a przeciwnikiem wszelkich przesądów.

Ucieszyłem się też szczerze wiadomością, iż od tak dawna projektowane odczyty dla rzemieślników przyjdą wreszcie do skutku, i że będzie można żywym a dobrym i zdrowym słowem odświeżać i odżywiać umysły klas pracujących. Na ukształceniu bowiem tych klas, na ich oświeceniu, wszystkim nam zarówno zależeć powinno; zyskają ludzie, zyska stan, zyska zawód i rzemieślnia sama, gdy się intelligencja w tych sferach większa rozwinię.

Od wielu lat gorąco posłowałem tej sprawie w prasie naszej, byłem nawet uczestnikiem poczytywnej narady nad wynalezieniem najlepszych środków do przeprowadzenia projektu odczytów dla klas rzemieślniczych: z pociechą więc i zadowoleniem dzisiaj słyszę, że zamiar dochodzi do skutku za pośrednictwem Towarzystwa popierania handlu i przemysłu, a pod firmą naszego Muzeum przemysłowego.

Rozumie się, iż w tych prelekcjach fachowe temata przeważać muszą.

O prelegentów chyba kłopotu nie będzie, chociaż to nie łatwa rzecz być pouczającym zrozumiałym i zajmującym dla słuchaczy, złożonych z tych sfer, których frazesem gładko toczonym zbyć nie można i nie godzi się. Prelekcje bowiem takie muszą być pożyteczne i korzyść umysłową przynosić, inaczej cel ich będzie chybiony.

Ile jeszcze na polu ogólnej oświaty u nas zrobić potrzeba, przekonujemy się bardzo często przy drobnych okazjach.

Oto np. przed dwoma tygodniami znany miłośnik aeronautyki, p. Miłosz odbył dziewiątą z rzędu podróż balonem, która zakończyła się bardzo niefortunnie; aeronauta złamał rękę, balon mu umknął, wyprawę całą można było życiem przypłacić—skończyło się na kalectwie i na 800 rs straty; nie o tem wszelako mówić chciałem, bo to sprawa więcej prywatna, w którą niepotrzebnie mieszają się i tak zanadto rozmaici nieproszeni wścibscy gazeciarscy.

Każdemu wolno za swoje własne pieniądze uprawiać sport, jaki mu do gustu najbardziej przypada; jeden lubi wyścigi na *vollblutach*, drugi jazdę na welocypedzie, inny wyprawę w kaiku. p. Miłosz lubuje się w balonach, a skoro ma środki potemu, a co ważniejsza, cywilną odwagę, by się puszczać śladami Ikara, to niech wzlata pod samo słońce. Co to obchodzi tych, których gwałtem za kołnierz do swojej łódki zamiast balastu nie wciąga?...

Chciałem nie o panu M. mówić, ale o wrazeniu, jakie jego nieszczęśliwa wyprawa zrobiła na świadkach katastrofy w Siedleckim, gdzie się jego balon opuścił i gdzie ratując życie ze złamaną ręką z wysokości kilkunastu łokci wyskoczyć musiał, wyczerpany zupełnie z sił i energii do dalszego borykania się z napowietrznym rumakiem.

Lud okoliczny, zamiast pośpieszyć rozbitekowi z pomocą, przyjął go sarkaniem, niechęcią, wyrzutami, wymyślał mu od Antychrysta i patrzył jak na złego ducha, który spadł na ziemię strącony palcem Bożym za karę, że mu się latać zachciało.

— Kiedyś człowiekiem, to nie kuś Pana Bogal! odzywały się głosy w tłumie zacofanym i ciemnym podejrzanym śmiałego aeronautę o czary i nieczyste praktyki.

Wynalazek Montgolfiera, nie dziwny już dzisiaj prostaczkom oświecenijszej Europy, u nas uchodzi jeszcze u ludu za wymysł szatański, za coś tak grzesznego, że kary niebios ująć nie może...

To jeden rys dotyczący oświaty, a teraz drugi dotyczący moralności.

Kiedy balon spadł wreszcie pozbawiony siły wzlotu na ziemię, chłopci miejscowi rzucili się na niego, jak na zdobycz wspólną, jakby to nie była cudza własność, kosztowna, nietykalna dla ob-

cych rąk, i ograbili go odrazu z siatki sznurkowej.

Wiadoma rzecz, jaką łakomą gratką dla naszego chłopca jest powrót; nie dziwnego, iż sznury balonu skusiły grabieżców, ale gdzież poszanowanie cudzej własności, gdzie dziesiąte przykazanie, nakazujące niepożądać u bliźniego—„ani wołu, ani osła, ani żadnej rzeczy, która jego jest”, a cóż dopiero rabować ją?...

Balon pana Miłosza był w przenośnym znaczeniu poniekąd jego wołem i jego osłem, co prawda skrzydlatym, który go dźwigał w powietrzu, ale i do takich przykazanie Boże odnosić się powinno.

Gdyby nie ten balon i golarki z Paryża, nasze pisma brukowe nie byłyby miały żadnej sensacyjnej wiadomości; katastrofa balonowa była przynajmniej faktem rzeczywistym, ale golarki okazały się tylko bańką mydlaną.

Napisano, że w Warszawie zaprowadzono taką nowość, iż w officynach felczerskich golić będą kobiety i to sprowadzone aż znad Sekwany; u nas wszystko, co zagraniczne, to modne i może liczyć na powodzenie.

Należę do liczby tych, którzy ze względów rozmaitych, pragnęliby, aby ich zawsze czyste i delikatne paluszki lewej ręki trzymały za nos, podczas gdy zgrabna i lekka prawica brzytwą zdejmować będzie zarost na brodzie; najważniejszy wzgląd jest ten, że wołę czystą i delikatną ręką kobiety w bliskości mojego organu powonienia, aniżeli grube i często od wczoraj niemyte palce golibrody rodzaju męskiego;—powtórze niczy w tem złego nie było, aby kobiety i w ten sposób mogły zarabiać na swoje utrzymanie.

We Francji i we Włoszech praktykuje się to oddawna.

Niestety, wiadomość okazała się co najmniej u nas przedwczesną.

Jeżeli się sprawdzi, to niechajby niekoniecznie za pośrednictwem Paryżanek; czyż nasze Warszawianki, słynne ze zręczności i zgrabności nie potrafiłyby same być pionerkami tego zawodu, torując sobie brzytwą drogę po męskich brodach (bez potykania się tylko), do nowego proceduru?...

Najlepszy przykład mogłyby dać przed innemi żony i córki naszych Figarów, oile się zatrudnienia i fachu ojcowskiego nie powstydzą, bo to u nas już tak bywa, że syn szewca pogardza kopytem, stolarza heblem, ślusarza pilnikiem, a felczera brzytwą i bańkami.

Każdy chciałby być czemś wyższem, innem, znaczniejszem,—ambicyja szlachetna, ale nie należy w niej przesadzać; niechaj stolarczyk stara się tylko być lepszym majstrem od swego rodzica, a szewczyk robi zgrabniejsze i trwalsze buty, niż te, w których sam biegał po ojcowskim warsztacie i t. p.—a będzie i w tych warunkach postęp, nawet pożyteczniejszy od tego, gdy synowie rzemieślników naszych wykształcą się na adwokatów bez klientelli, doktorów bez praktyki, urzędników bez etatu, lub profesorów bez katedry.

Wprawdzie i rzemieślnio bez zajęcia, jest również smutną exystencją, ale wiecznie przecieć nie może trwać ten dzisiejszy zastój, który wszystkim od góry do dołu dokuczył już tak, że się płakać więcej na niego nie chce.

Dla przemysłu naszego nic się chyba nie poprawiły warunki; dość powiedzieć, iż projektowana wystawa sztuki dekoracyjnej na korzyść Towarzystwa Dobroczynności nie może przyjść do skutku z powodu braku uczestników.

Nikomus się nie chce wykosztowywać na publiczny popis, z bardzo wątpliwym skutkiem wycofania nakładu na wystawę.

Projekt hr. Walewskiego musi czekać lepszych czasów, gdy sztuka dekoracyjna na pomyślniejsze natrafi warunki. Kto tam dziś myśleć może o ozdabianiu swojego domu i mieszkania, o pięknych meblach stylowych, o makatach, drogich dywanach, tapetach, bronzach etc., etc., kiedy każdy liczyć się musi z groszem i poprzestawać na tem, co mu z lepszych czasów pozostało!

Zamiast wystawy salonowego zbytku, będzie-

my natomiast już od Piątku mieli wystawę naturalnego smaku i krasy, barw i woni; w Pomarańczarni otwartą będzie od jutra wystawa roślin, kwiatów i owoców urządzona przez Towarzystwo Ogrodnicze.

Flora i Pomona dadzą nam koncert taki, że zmysły wzroku, smaku i powonienia naszego zachwycić się muszą.

Passyami lubię kwiaty i gdybym wierzył w metempsychozę, chciałbym, aby dusza moja po śmierci przybrała kształty pszczoły lub motyla; niechajby to zakrawało potem na ironię czy złośliwość ze strony bogów—mniejsza z tem, ale rozkoszowałbym się w sferze woni i świeżości do syta.

Dzisiaj jestem pszczołą, która z obowiązku latać musi po... ogródkach, gdzie wyrastają kwiatki Melpomeny i Talii na teatralnych grządkach, kwiatki, tak często, niestety, pozbawione barwy i zapachu, z których ani wosku, ani miodu zebrać nie podobna.

Te ogródki nasze dla recenzentów i publiczności bywają często karczerem wieczornym, w którym my biedni za winy nie popełnione, (a raczej za winy popełnione przez autorów) pokutować musimy.

Cóżem ja winien np., że się pp. Buchnerowi i Cyrońskiemu nie udał pierwszy debiut autorski śladami nieboszczyka Szobera, i że ich pięcioaktowa farsa p. t. „Wesoła Warszawa” nie jest ani wesoła, ani Warszawą?... jednak wysiedzieć musiałem na tych prymicyach cały wieczór, aby potem autorom zrobić nieprzyjemność w recenzji niepochwalebnej, zmartwić dyrekcyą poznańskiej trupy i aktorów, pracujących *à fonds perdu*.

Albo za jakie grzechy każą mi bogi bywać na premierach Teatru Nowego, gdzie francuskie farsy padają, jak długie, a reżyserya ma przekonanie, że to jedynie z winy prassy przesładującej teatr i uprzedzenia złośliwych recenzentów, nie z przyczyny złego wyboru i nieudolności kierownictwa...

Jakgdyby to krytyka miała oczy urocze, albo spojrzeć jakiejś Gorgony!...

Czasami uda się znaleźć na tych ogródkowych grzędach jakieś lepsze ziarno, toż wtedy wszystkie recenzje kurjerowe gładzą głośno z radości, jak uszczęśliwione kokoszki.

Czegóż chcieć więcej! niech tych ziarenek zbiera się cała miarka, a będziemy żyli z sobą w zgodzie, chwalili, chodzili do teatru, bili oklaski i zapelniali kasę.

W rywalizacji z Teatrem Nowym trzeba przyznać scenom ogródkowym pierwszeństwo pod względem wystawiania sztuk oryginalnych; ostatnimi czasy Alhambra bardzo szczęśliwy dla siebie zrobiła nabytek w czteroaktowej krotcechwili p. Zygmunta Przybylskiego, wyróżnionej na konkursie dramatycznym p. t.: „Wicek i Wacek”, a Nowy Świat w pięcioaktowym obrazie ludowym p. Zofii Mellerowej i p. Jana Galasiewicza, p. t.: „Dziewczę z chaty za wsią”.

„Wicek i Wacek” doczekał się przeszło trzydziestu przedstawień z rzędu; powodzenie niezwykle. Sztuka młodego autora sprawia miłe wrażenie, oile ożywia ją rodzimy humor w dwóch tytułowych postaciach, wzorowanych z natury i przedstawionych oryginalnie.

Wicek i Wacek to para obywatelskich synalów. Te dwa typy i prawdziwe, i dobrze schwyczone najlepiej się udały autorowi; im też zawdzięcza sztukę swój sukces.

„Dziewczę z chaty za wsią” jest dalszą próbą powieści Kraszewskiego i ma za treść losy Marysi, sieroty po Tumrym cyganie, co się obwieścił z miłości do Azy i do nieszczęsnej Motruny, odtrąconej przez rodzinę i gromadę za to, że cygana pokochała i za męża za niego wyszła.

Połączone dwa talenta pisarskie, doświadczone już w pracy i twórczości dla sceny, po szczęśliwym zawiązaniu spółki autorskiej i zbudowaniu „Chaty za wsią”, w dramatycznej formie w dalszym ciągu osadziły w tej chacie „Dziewczynę”.

Uboższa treść, mniej akcyi dostarczyła na długą sztukę, która jako obraz ludowy zajmuje też głównie malowniczymi massami i grupami, charakterystyką sielskich zwyczajów i obrzędów, ale mniej posiada dramatyczności i mniej humoru od „Chaty za wsią”.

Pan Galasiewicz zna wybornie lud, pani Melerowa scenę; do spółki musieli też stworzyć obraz barwny i charakterystyczny, ale trzymając się wątku powieści, byli skrepowani pomysłem cudzym, wystarczającym aż nadto w książce, ale nie dostatecznym na szkielet dramatu na scenie.

Prawda, że sztuka nazwana „obrazem”, ma na swoje usprawiedliwienie wiele i od zarzutów poważniejszych broni się samem założeniem; autorowie chcieli malować i to udało się im bardzo dobrze, jakkolwiek zdałoby się, jak w niektórych obrazach, okroić w kilku miejscach trochę nieba i ziemi, aby zmniejszyć rozmiary i skupić więcej akcyę.

Pierwsze przedstawienie „Dziewczyny” trwało do pierwszej po północy, następne trochę krócej, ale i tak za długo.

Towarzystwo lubelskie pod dyktando p. Pułchiewskiego, bardzo starannie wystawiło i zagrało sztukę trudną w scenach zbiorowych do inscenizacji; w massach był ruch widocznie z usiłowaniem naśladowania Meiningerów; szczególnie kiermasz w drugim akcie wypadł wybornie.

Chaos jarmarczny przed kościołem wiejskim przypominał wiernie i dobrze rzeczywistość.

Mamy tedy dowód postępu w sztuce dramatycznej nawet na scenach ogródkowych, pod względem wystawy i dążenia do realizmu.

Gdyby jeszcze więcej realnej prawdy w grze, więcej prostoty i szczerości w akcyi, więcej naturalnego wdzięku w osobach artystów i artystek — wszystko byłoby przewybornie; ale i tak, jak jest — pochwalić się godzi.

Quis.

BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Siedział za stołem, przyprowadzony po raz pierwszy do podkanclerzego, średnich lat; chorąży Mazewski, i milczał. Mało go kto tu znał, krom Bąkowskiego, z którym przyszedł.

Dotąd słuchał milczący i rozglądał się, a po twarzy mu chodziły jakieś dziwne to blaski, to chmury.

Naostatek wytrzymać nie mógł.

— A to mi dopiero piękna szlachta i ziemianie! — zawołał. Mieli tu po co iść, aby spiski knować, i nam, co krew przelewać mamy, być zaważad... niechby pioruny takie pospolite ruszenie!

Wszyscy na niego zwrócili oczy.

— Toć zdrajce i łotry! — zawołał. — Nam Kozacy i Tatarzy grożą, a te bestye myślą o sobie, jakby za swą skórę więcej wziąć, choć jej jeszcze nie dali.

— Zmłuj się! chorąży — przerwał Kazimirski — co-bo się tak oburzasz... Szlachta przy prawie stoi...

— A niech ją z jej prawem siarczyste pioruny! Czas tu myśleć o prawie! Tu innego dziś niema, tylko wojenne... a kto go nie słucha...

Siadł Mazewski zburzony, nie kończąc; wszyscy się spojrzeli po sobie, jakby mówili:

— Nie nasz to człowiek...

— Uspokójcie bo się — roześmiał się Bąkowski... szlachta swój obowiązek spełni — ale, że się upomina...

— Dosyć czasu będzie po wojnie — począł go-

raćo Mazewski. — Tu dziś jedno jest do czynienia: bunt zdusić, rebellizantów upokorzyć, Tatarów przepędzić... Ja innego nie znam... zdradca, kto dziś o innem myśli!

— Właśnie dlatego — przerwał podkanclerzy — troszczą się ludzie o czynności króla, bo fałszywy krok... nas może zgubić.

— A no, Radę ma — rzekł Mazewski.

— I słuchać jej nie chce, tylko swoich Niemców — wtrącił Proszka — nie, nie — Niemców trzeba wykurzyć.

— Ale, do stu katów! — zawołał Mazewski — piechota niemiecka doskonała; przy artylerii puszkarze, bez których my się nie obejdziemy!

Podkanclerzy, ostrożny, rozpytywać począł, kto tego chorążego wprowadził, wziął Bąkowskiego na stronę i począł mu to wyrzucać.

— Ale to żołnierz dzielny i weredyk — bronił się Bąkowski, wpływ ma wielki... a że trochę inaczej widzi, niż my.

— Trochę! — zaśmiał się podkanclerzy.

Tymczasem spór trwał, zwykli jednak goście Radziejowskiego pomiarkowali, że rozżarzać go nie było warto — i jeden po drugim milkli, a Mazewski, zrozumiałwszy to, iż ani mu tu radzi byli, ani był potrzebnym wśród nich, za czapkę wzięwszy, poszedł precz.

— Ostrożnym-bo być powinien — rzekł Radziejowski — po co nam kurtyzanie i pasożyty hetmanów? nam wolnych ludzi około siebie skupić potrzeba.

Po wyjściu Mazewskiego, gdy się uspokoiło, Kazimirski począł wykladać, co zrobił i co się gotowało.

Spisek wojskowy przeciwko królowi się gotował; powstał on z niczego. Podkanclerzy nie mieszał się do niego i tylko dobrą radą go wspierał, ale gorąco się nim zaprzętał.

Kazimirski nosił jego rozkazy, dając je za swoje, zaciągał coraz nowych krzykaczy, starał się po wszystkich ziemiach rozsiać ziarna, z których przeciwko królowi związek miał powstać. Mówiono już o zwołaniu w ostateczności koła, które było w obozie tem, czem rokosz czasu pokoju. Koło wojskowe i hetmanów i wodzów pozyskać przed się rościło sobie prawa.

Brakło tylko podkanclerzemu jeszcze jego prawej ręki Dębickiego, który mu w ostatku przybycie swe zwiastował.

Wszystko to odbywało się pod bokiem króla i hetmanów, a dokonywało właśnie w momencie, gdy największa karność była potrzebną.

Radziejowski cieszył się tem, jako najdoskońalszym środkiem uzyskania stanowiska przeważnego.

— Beze mnie oni im rady nie dadzą, ja jeden potrafię załagodzić, usmierzyc i zamknąć gęby... król się mnie prosić będzie musiał.

Niebezpieczeństwa tego Jan Kazimierz wcale ani nawet nie przeczuwał.

Postanowiono po radzie wojennej, aby się na drugą stronę Styru przeprawić, gdzie równiny suche, doskonały plac do wygodnego rozwinięcia obozu i rozłożenia sił dawały.

Ale przeprawa przez rzekę bystrą, dosyć szeroką, której brzeg jeden był stromy, niemałą trudność stanowiła. Most jeden, i to nie zbyt krzepki, trzeba było poprawić, a wojska w porządku i bez zbytniego nacisku prowadzić. W tem wszystkim znowu król z wielką gorącością sam był czynnym. Hetmani i starszyzna hamować go tylko musieli i prosić o cierpliwość.

Otrąbiono wieczorem, aby pułki niemieckie królewskie pierwsze się przeprawiały. Znowu tedy mrużenie i sarkanie, że o Niemców królowi najwięcej szło, aby sobie nóg nie zamoczyli.

Ale głośno jeszcze nikt się odezwać nie śmiał.

Drugiego dnia naprzód piechota, potem pułki, których porządek był wyznaczony, most przebywały i na przeciwnym brzegu na zielonej równinie wytknięte zajmowały stanowiska. Król po mszy świętej na koniu u mostu znowu stał, aby tumultu nie dopuścić.

Nie było przy nim pod ten czas nikogo, oprócz komorników i pisarzy, a Radziejowski, korzystając z tego, zbliżył się. Jan Kazimierz odwrócił się wprawdzie, lecz uniknąć go nie mógł.

— N. Panie — odezwał się zbliżywszy tuż podkanclerzy — chociaż mi o łaskawe ucho w. król. mości trudno, ja mój obowiązek spełniam. Muszę przestrzedz, iż w wojsku fermentacja jest i zniechęcenie wielkie. Lękam się, aby w godzinie najgorszej nie wybuchnęło, nieposłuszeństwo.

Król milczał długo.

— A nikt o tem nie wie krom was, panie podkanclerzy? — zapytał.

— I mnie to doszło wypadkiem — odparł Radziejowski.

— Nie wierzę, aby szlachta tak mało dbała o Rzeczpospolitą i o cześć swoją, aby tu teraz, warcholstwen: się chciała kazić.

— N. Panie szlachtę trzeba znać — z pogardą rzekł podkanclerzy — tłum to nieoświecony, a przywilejami swemi w dumę wbity. Lada co ją może pociągnąć.

Król, który słuchał z coraz wzrastającą niecierpliwością, umyślnie począł dawać rozkazy dworzanom i posyłać ich, aby przerwać nieznośną rozmowę.

Podkanclerzy, rachujący może na przestraszyć i na zbliżenie się, widząc, że Jan Kazimierz doniesienie jego lekceważy, gniewny ustąpił.

Wszystkie jego rachuby chybiały.

— Potrzeba więc do ostateczności się posunąć — mówił w duchu — pcha mnie do roko-
szu.

Król wistocie przez wstręt dla człowieka samą radą pogardził. Posądzal go o używanie tego środka dla pojednania, dla uzyskania przebaczenia; a darować mu nie mógł intrygi, która królową odstręczyła. Właśnie pracował nad tem, aby o swojej niewinności przekonać Maryą Ludwikę i sam widok tego człowieka drażnił go przypomnieniem.

Wojsko w przeciągu trzech dni całe się rozłożyło na równinie i Wojewoda Krakowski, który je królowi ukazywał, mógł się pochwalić widokiem, jaki ono przedstawiało.

Przynajmniej napozór świetne było i ład w nim panował pożądanym. Hetmani wszyscy, sądząc po odebranych i ciągle nadchodzących wieściach o Chmielu i Ordzie, tu na nieprzyjaciela czekać chcieli. Król niecierpliwy naprzeciwko niemu chciał ciągnąć.

Z uporem nie do przełamania żądał tego, gdy starzy z pokorą, ale stanowczo prosili przynajmniej o zwłokę. Dla boju miejsce to właśnie wydawało się im i najdogodniejszym, i najlepiej obwarowanym. Lasy i rzeka je osłaniały.

Z tem wszystkim Jana Kazimierza niecierpliwości wielkiej pohamować było trudno, niepodobna prawie.

Ostatniego dnia przy mszy świętej przyszedł Potocki i jak litości błagał zwłoki dnia jednego tylko...

Król się zżymał.

— Na zwłokach już straciliśmy wiele — wołał ręce łamiąc, — spojrzcie na nagromadzone siły: dopóki je mamy, póki się nie rozproszą i nie staną niesfornymi, korzystajmy. Nieprzyjaciela nie oprze się takiemu wojsku, jak nasze.

— Ale nas może w przechodzie napaść w położeniu niekorzystnem — mówił Potocki — tam on będzie wybierał... my przyjąć musimy bój, gdzie nas zaskoczy, a tu...

Złamany prośbami, król się na zwłokę dnia jednego zgodził.

Upłynął ten dzień jednak w niepokoju, w jakimś gorączkowem oczekiwaniu. Starzy żołnierze, mający osobliwe poczucie — mówili wszyscy, iż im bitwa pachnie... chociaż nie jej nie zapowiadało.

Nazajutrz rano król zerwał się do dnia i wnet rozkazy wydał, aby część wojska natychmiast ku Dubnu ciągnęła... Ruszyły pierwsze chorągwie, ale zaledwie je z oczów stracono, gdy podjazd silny przybiegł, dając znać, że Bohun we trzydzieści tysięcy i ćma Tatarów tuż przybywa.

Ledwie hetman miał czas pchnąć, aby wojsko, które ruszyło już, natychmiast wracało, a rozproszeni zpod chorągwi żołnierze skupiali się do nich.

W mgnieniu oka całe to spokojne mrowisko

zaruszało się, zakipiało, i życie w nie wstąpiło nowe.

IV.

Rozstać się z obozem i życiem obozowym było Dyźmie w początku przykro; żegnał się i powracał do Xieźkiego, który wesa pokręcał i mruzczał:

— A no jedź, masz jechać! Jaka z ciebie babal! Jedź a powracaj.

Gdy poza nim obozowego życia gwar, trąbki, rżenie koni i skrzyp wozów, zwolna cisza pól i lasów pożarła. Strzębosz uczył najpierw znużenie wielkie; drzemal na siodle, jadąc, i parę razy, gdy mu się koń zachnął, bo miał płochliwego pod sobą, o mało się nie zsunął z niego; potem oczy przetrząsłszy poświstywać zaczął, rozpatrywać się w wiosnie wiejskiej, której dawno nie widział, nareszcie przyleciały naprzeciw niego wspomnienia Warszawy: Białka, zamek, towaryszysze, życie na antykamerze, wycieczki na miasto...

Z nicości zaczęły się jedna po drugiej przed nim jawić twarze znane, stawały widma i przyciągały ku sobie.

To, co go ku obozowi jeszcze w tył zwracało, znikło; nowa siła jakaś rwała mimowoli naprzód do Warszawy. I serce mu w piersi skakać poczęło do tej przeszłości. Król mu zalecał pospiech; potrzeba było nie marudzić, a tu i serce już konia popędzało. Pierwszy popas, gdy wierzchowce były wypoczęte, nie potrzebował długiego czasu, na nocleg przyjechał późno, zerwał się do dnia.

Szczególna rzecz: im teraz śpieszył więcej, tem się mocniej niecierpliwił, czas mu się wydawał niezmiernie długim, dnie bez końca, a klus konia leniwym. Do obozu napowrót, choć czasem o nim pomyślał, nie go już nie odciągało; jednego Xieźkiego żalu mu było. Ten za niczem w obozie nie tęsknił, jakby się w nim urodził.

Strzębosz w końcu tak się zwijał, że choć pani podkanclerzyna go dobrze z wyjazdem wyprzedziła, przed Warszawą ją napędził i na ostatnim noclegu, dowiedziawszy się, że ją ma tuż przed sobą, pośpieszył, aby się z jej dworem połączyć.

Nie było w tem nic dziwnego, że ją napędził; pani Radziejowska jechała bardzo popańsku, ze stanowniczym przodem, długo wysiadając na popasach, a późno ruszając się z noclegów. Nie miała się tak dalece śpieszyć czego; kolebka ciężka sześciu woźnikami zaprzężona, po drogach niekiedy wązkich, wybojów pełnych, wlokła się, a czeladź musiała ją podierać, aby się nie wyróciła. Wozy, które szły za nią, były przeladowane; służba nie miała ochoty zbyt śpieszyć, bo w podróży więcej jej dawano swobody.

Na następnym popasie Dyźma, który niejedną raz był przez króla posyłanym do podkanclerzyny, i którego ona znała dobrze, zameldował się jej przez ochmistrzą. Miał list przecie.

Wpuszczono go natychmiast. W szatach podróżnych, ale nawet w drodze wytwornie i smakownie ubrana, Radziejowska siedziała zamysłona na stołku karczemnym poduszką tylko zasłanym. Piękna jej twarz nosiła na sobie ślady widoczne przebytych męczarni, wypłakanych łez i troski, która ją uciskała.

— Zkądżeś to waszmość się tu wziął? — za pytała głosem łagodnym.

— Król mnie wysłał do Warszawy z rozmaitemi poufnymi zleceniami — odezwał się Dyźma, dobywając papiery. — Mam i do pani podkanclerzyny piśmko.

To mówiąc podał zapieczetowany sygnetem prywatnym króla list, który, nieco zarumieniona, żywo pochwyciła Radziejowska, ale się rozmyśliwszy, nie czytając, położyła na stole przy sobie.

Spytała go niespokojnie: kiedy wyjechał z obozu i co tam słychać było?

Strzębosz opowiadał, potrosze się wstrzymując od tego, co miał na języku o podkanclerzym,

choć jejmość wyraziście, z niechęcią badała, co on tam poczynił.

— Nieprzyjaciela jeszcześmy nie widzieli — rzekł — ale jeńców codzień do obozu przyciągają, i pewna rzecz, że cała ta tłuszcza około Dubna i Olyki pustoszy, a może i bliżej. Król chce iść naprzeciw i bardzo niecierpliwy jest; Potocki i Kalinowski wstrzymują, bo pod Beresteczkiem pole doskonałe i na oboz i do rozprawy, a drugiego takiego znaleźć będzie trudno.

Wszystkoby dobrze było, bo i sił jeszcze coraz więcej nadciąga — dokończył Strzębosz — gdyby nie szemranie i rodzące się już w pospolitem ruszeniu warcholstwa.

— O! to łatwo przewidzieć było — odparła żywo, usta zaciskając Radziejowska. — Są tacy, którzy niezgodę sięją zawsze, nie omieszkają jej i tu pielęgnować, a na łatwych do podburzania nie zbywa. Biedny król!

— Dotąd — dodał Strzębosz — dzielnie się trzymał i trzyma, a tak czynny, jak go nikt nigdy nie widział. Nawet pod Zborowem, choć i tam nie zasypiał, nie był tak niezużonym, tak surowym; ale, co to pomoże!

Dyźma nie dokończył.

— Tak — ożywiając się, mimowoli zawołała podkanclerzyna — co to pomoże, gdy pod nim dolki kopać będą!

I zadumała się ponuro.

— Zabawisz wmość długo w Warszawie? — zapytała.

— Nie wiem, bo główna rzecz, jak mnie królowa przyjmie i odprawić zechce.

— Nie zapomnijże zająć do mnie, bo odpowiedź dać muszę — szepnęła podkanclerzyna — a do Warszawy, czy nas wyprzedzisz?

Strzębosz zapytał:

— Jeżeliby było potrzeba, łatwobym o jakie pół dnia mógł pośpieszyć.

Potrząsnęła głową Radziejowska.

Nie pytała już więcej, a gdy list króla wzięła w ręce, Strzębosz zrozumiał, że mu się należało oddalić.

Sklonił się więc i odszedł, a z rozkazu podkanclerzyny jej marszałek wziął go zaraz naprzeciw do izby dla ugoszczenia.

Reszta podróży bardzo zeszła wesoło, bo Strzębosz, dla zmęczonych koni, nie mógł pośpieszyć; towarzyszył więc dworowi podkanclerzyny i miał się dobrze. Ona sama kilka razy jeszcze powoływała go do siebie, rozpytując o różne drobnostki i od niego się dowiedziała, że od przejęcia listu swego podkanclerzy do Warszawy przez królewskie kresy nie pisywał, ale z Kryłowa bojarów sprowadził, którzy się mieniali na posyłki. Strzębosz przynajmniej wiedział o dwu czy trzech takich wyprawionych z obozu, pewno nie bez listów i doniesień do Warszawy.

Dawało to jej do myślenia; nie mogła bowiem wątpić, że przeciwko niej mąż knować musiał.

Strzębosz z ostatniego popasu, już nie mogąc powstrzymać młodzieńczej swej niecierpliwości, pożegnał podkanclerzynę i pusczył się przodem do Warszawy.

Serce mu biło, zapominał o wszystkim prawie, co za sobą pozostawił. Zdawało mu się, że przed nim, skrzydłami wiosennego motyla niesiona ulatywała figlarnie uśmiechnięta twarzyczka Bianki. Młodość jest samolubną: o wszystkich cudzych zapominał frasunkach — on, on miał być na chwilę szczęśliwym. Sprawy króla, podkanclerzyny, wojna, nie go już nie obchodziło. Wstydział się sam siebie, ale prąd go jakiś potężny unosił — oprzeć mu się nie umiał. Koń już ledwie starczył pośpiechowi, z jakim biegł, a biegł aby stanąć na miejscu, a gdy wieźcy P. Maryi i mury kościołów, a zamku, ukazały się w oddali. Dyźma mimowoli czapeczkę podrzucił do góry, witając miasto.

Na zamku przybycie jego, jak każdego posłańca od obozu, sprawiło radość; dano znać królowi.

Zarzucono go pytaniami: gdzie był król? czy się nieprzyjaciela pokazał? Nie było bitwy?

Ledwie miał czas suknie zapyłone zrzucić i przedziać się, gdy go już dwu paziów, jeden po

drugim do królowej przybiegło napędzać; bo listów nikomu zwierzyć nie chciał.

Zastał Maryą Ludwikę samą i przechadającą się po swym pokoju z oznakami niecierpliwości.

Pochwyciła listy, pytając:

— Zkąd?

— Zpod Beresteczka...

Na stole rozłożona leżała wielka mappa, królowa pobiegła i pochyliła się nad nią.

— Król? — zapytała.

— Zdrow, Bogu dzięki i czynny bardzo — począł Strzębosz — a gdyby mu ludzie tak służyli, jak on o nich się troszczy i pracuje...

Spojrzała królowa ciekawie na niego — i krótkimi pytaniami zasypała go.

Z nich widać było, jak doskonale ją o wszystkim uwiadomiano; wiedziała już o buncie na Podgórzu i spytała: czy kogo wysłano, aby jego szeregów się zapobiedz; słyszała o Chmielnickim pod Olyką i o Ordzie.

Strzębosz ledwie mógł wydażyć z odpowiedziami. Zarazem, rozerwawszy pieczęć, rzuciła oczyma na listy i zadawała pytania, nie słuchając potem roztargniona, odpowiedzi.

Naostatek zagadnęła o podkanclerzego, a Dyźma, który się na to gotował wcześniej, bez ogródek opowiadać zaczął, jak dokuczał i naprzykrzał się królowi i z kim w obozie przestawał. Nie tań, że się szlachta zbierała warcholić, dając do zrozumienia, kto ją podbudzał. Marya Ludwika usta ścisnęła, nie mówiąc nic.

Słówką musnęła podkanclerzynę.

— Gdzież ta wasza piękna pani?

— Z obozu dawno wyjechała — rzekł Strzębosz — i prawie dziś lub jutro będzie tu w Warszawie.

Oczy królowej zabłysły gniewem, zamruczała coś niewyraźnie:

— Rozstali się więc! — dodała jakby sama do siebie.

Strzębosz stał ciągle u progu, bo pytania nie ustawały jeszcze. Sam on z własnego natchnienia począł mówić o tem, jak N. Pan cierpiał, iż listów długo nie miał z Warszawy, które gdzieś ginęły w drodze i że dlatego właśnie jego wyprawił, aby się naocześnie przekonał o zdrowiu królowej, a przywiózł pewną wiadomość.

Wszystko to Marya Ludwika zbywała milczeniem, nie bardzo nawet słuchając pilno, i raz jeszcze wtrąciła:

— Dziś ma powrócić do Warszawy.

Dyźma nie rozumiał pytania i dopiero po namyśle potwierdził, że podkanclerzyna musiała nadjechać, bo ją napotkał na drodze.

Znowu więc o wojsko, oboz, o hetmanów, o nadciągające pułki, o usposobienie między szlachtą badać poczęła. Dyźma się musiał dziwić pamięci i doskonałej wiadomości wszystkiego, co się działo w obozie. Widocznem było, iż królowej ze strony donoszono o tem, bo niektóre plotki nacechowane były niechęcią dla króla i nieufnością. Strzębosz go ciągle bronił, a czynił to z wielką gorącością i nie szczędząc dowodów, iż fałszywe dochodziły do stolicy.

Królowa, na to nie odpowiadając, wejrzeniem tylko go przeszywała.

Trwało tak długo to wypytywanie, iż w końcu Maryi Ludwice znać dano o wieczery, a Dyźma na ostatek odszedł uwolniony, ale mu się nazajutrz stawić kazano.

Ledwie z tych spytków wyswobodzony, wpadł w ręce dworzan, którzy na niego w antykamerze czatowali — i pociągnęli z sobą.

Z ich pytań jeszcze się dowodniej mógł przekonać, jakie tu rozsiewano plotki. Zagadywano go o jakies niespodziane króla z podkanclerzyną najście przez męża i wyniki z tego srogie z Radziejowskim zatargi.

— Ależ to są haniebne baśnie! — krzyknął oburzony Strzębosz — ja przy królu jestem ciągle! Nigdy nic niepodobnego się nie wydarzyło. Królowi ani ona, ani żadna inna teraz w głowie, ma o czem myśleć i nie dosypia nocy, tak pracuje, a tu mu obmawia niegodziwą za to płac!

Gdybym pochwycił łotra, co tu przynosi takie podłe plotki, język bym mu obrzezał!

Śmiano się z tego oburzenia.

— Darmo się nie zmagaj — wołali komornicy królowej — u nas tu powszechnie wiadomo, że podkanclerzyna dla króla z Krasnegostawu pojechała dalej, że męża odprowadzono, a ona wieczory spędzała z panem.

Wściekły rzucał się Strzębosz.

— Kłamstwo podłe, niegodziwe, nikczemne! Król ani jednego razu się do podkanclerzyny nie zbliżył, nie mówił z nią. Mąż ją włókł za sobą.

Nie chciało Dyzmie wierzyć.

— Tu ją dobre przyjęcie czeka w Warszawie — szeptali dworacy — bo począwszy od królowej, której się ani na oczy nie będzie mogła pokazać, żadna z pań jej nie przyjmie.

— Ale niewinność musi się w końcu okazać, bo to są czernidła nie zasłużone i rozsiewane umyślnie — mówił Strzębosz.

Napróżno się jednak siłił: nie było sposobu przekonać; opowiadano zmyślane przygody i niektórzy szeptali, że królowa miała o tem w listach pewne wiadomości. Jawnem było źródło dla Dyzmy; wszystko to pochodziło od samego podkanclerzego, który usiłował królową z mężem rozdzielić, aby z tego skorzystać.

W końcu Dyzma, klnąc, porzucił towarzyszy, zły, że ich przekonać nie mógł. Żał mu było podkanclerzyny. Chętnie-by jej był wczesnem ostrzeżeniem oszczędził przykrości, ale z drugiej strony, nie wiedział ani jak tego dokonać, ani czy przystało mu mieszać się w tak drażliwe zajścia.

Nazajutrz ledwie mógł dotrwać powołania do królowej. Tu, po przeczytaniu listów, znowu pytał się posypało mnóstwo, na które Dyzma, jak mógł i umiał, dawał odpowiedzi. Potwarze w samem tem badaniu wychodziły na jaw. Ukaranie Pawłowskich, sądy wojskowe, wszystko było królowej wiadomem. Miała osobne doniesienia o pochodzie Bohuna, o Ordzie, o owej obietnicy Chmiela uczynionej Hanowi, że łup będzie za garniał z Polski bez trudu i bez straty.

Królowa trzymała z hetmanami, iż pod Beresteczkiem stać było potrzeba i czekać, a wogóle znajdowała mnóstwo uchybień w postępowaniu męża. Szczęściem już tym razem ani o podkanclerzym, ani o żonie jego wzmianki nie było.

Wyrwawszy się ztąd, jak z łaźni, Dyzma się nie dał wstrzymać i wyskoczył na miasto, wprosił do domu Bertoniowej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

W SZWAJCARYI.

Mamy my bardzo piękną rzecz: „W Szwajcaryi”, ale stokroć piękniejsza odbyła się tan obecnie nie w fantazyi smutnego poety, ale w rzeczywistości ochotczych, szczęśliwych tłumów, które święciły wielką chwilę historyczną swej przeszłości. Dnia 9 Lipca obchodzono uroczystość w dzisiejszym kantonie Lucerny pięćsetletnią rocznicę bitwy pod Sempach — zwyciężkę bitwy Szwajcarów z Austryakami, która rozstrzygnęła ostatecznie o ugruntowaniu się takiej, jaką dziś widzimy, Szwajcaryi wyzwalając ją z pod hegemonii austriackiej. W 1386 r. powstał bardzo ostry spór między miastem Lucerną a austriackim księciem Leopoldem o przywileje miejskie, które naruszał. Na pomoc miastu ruszyły się trzy sprzymierzone kantony: Uri, Schwyt, Unterwalden i na polach pod Sempach przyszło do bitwy. Książę Leopold wiodł 5,000 wojska: pyszną, w stal zakutą, na wielkich, silnych rumakach siedzącą jazdę i piechotę ze Szwabii — dobrze wyćwiczonych, mocnych knechtów, należących do uzbrojonych i obytych z wojennymi sprawami. Przeciwna strona przedstawiała 1,300 ludu wiejskiego, górali z toporami, kosami, nawet

z kijami okutymi w żelazo, jakich górale potrzebują przy spuszczeniu się w dolinę z turni spadzistych. Miało się już ku południowi, gdy wojska znalazły się naprzeciw sobie i słońce lipcowe piekło silnie. Rycerstwo austriackie, spojrzawszy na ten tłum chłopski, zsiadło z koni, aby przyjąć nieprzyjaciela długimi, szesnastcie stóp mającemi kopiami: utworzyli niby mur żelazny, przed którym wyciągały się przodem kłujące ostrza, aby nadziewać zuchwałca, któryby się ku nim śmiał posunąć. Lecz te żelazce ostre posuwać się miały: Austriacy, postępując w zwartym szyku, musieli, albo nieprzyjaciela wykląć, albo do rozproszenia się zmusić. Obejść Austriaków było rzeczą niemożliwą, mieli na bokach piechotę z mieczami, z kuszami, z mocnem uzbrojeniem wyćwiczonych wojska i zdawało się, że to szaleńcy są, którzy osmielają się kupą swą bezładną stawiać czoło takiemu nieprzyjacielowi i w liczbie tak bardzo przeważającą.

Ta, ostremi żelazcami najeżona forteca żywa przejdzie po nich, ścieląc sobie trupem drogę zwycięskiego pochodu. Snadź nie dbają już o życie, ale cóż śmierć ich zrobić może? Zdaje się to być dzień sądny, któremu ogniste słońce przyświeca; wyszło na niebiosie bez chmury i leje potoki światła, tajemniczy świadek tragedii okrutnej, po której zostanie w historii echo, straszące ludy zuchwale!

Tak zapewne mówiło sobie rycerstwo austriackie, dumne szlachcice szwabskie. Górale posuwają się ku Niemcom klinem; nichby tylko wbił się w tę ścianę żelaza, a rozsada ją! Popłoch dla ciężko uzbrojonego rycerstwa, to wyrok z góry; czy przecież popłoch ten stać się może? Wystrzone końce żelaza, to nie ojciec, nie matka! nie przepuszczają ani młodości, ani bohaterstwa, zapalowi dobrej sprawy — przeszyją wskroś przez najszlachetniejszą pierś, przez najgorętsze serce przejdą na wylot, a tu topory górali, ich siekiery takie krótkie, kosa nawet nie do stanie!

Nagle dzieje się rzecz niepojęta! Arni (Arnold) Winkelried z Unterwalden ciska się naprzód, ramiona jak szerokie otwiera i wołając: „Ich will euch eine Gasse machen!” chwytając oburącz, co zająć może wyciągniętych kopii niemieckich, i wbija je sobie w pierś!

Trwa to wszystko chwilę jedną, chwilę niedłuższą, nad parę uderzeń serca w piersi wzruszonej, ale chwila ta jest wyroczną. Podziwienie chwytają Austriaków i „klin” wbija się w ścianę! Nawała góralska za nim się pcha, zapalają unoszą i cudowną czyni, gdy Austriaków przeciwnie coś odrętwia. Przelecieli się śmiałości tego czynu, wielkości tej ofiary prostaka, który stał im się pod oczyma bohaterem. Co tańcym przybyło ducha, tyle go oni utracili i położenie zmienia się w sposób niepojęty. Rycerstwo pada i ginie tłumami, ginie austriackie księżę, górale unoszą z pola bitwy chorągwie zdobyte i święci się wielka z ich strony wygrana. Austriackie kroniki piszą, że to słońce sprzymierzyło się ze Szwajcarami, że to słońce, które paliło jak ogień i rozgrzewało stalowe blachy pancerzy i szyszaków, że to słońce zwyciężyło ich!

Ale Szwajcarowie odpowiadają, że zwyciężył Arni Winkelried, że zwyciężył bohater — zwyciężyło poświęcenie. Ostatnie studia historyczne podały w wątpliwość tak czyn Winkelrieda, jak nawet samo jego istnienie; przecież znajduje się dowód, że człowiek taki żył, że się w bitwie pod Sempach znajdował, że w niej życie swe dał. W kościelnych księgach wioski Nidwalden znajduje się imię i nazwisko jego wpisane między poległymi w bitwie pod Sempach, za których dusze odprowadzane było nabożeństwo żałobne. Wprawdzie księgi oryginalne już nie istnieją, ale istnieje odpis z nich zrobiony. Zaprzecze nie polega głównie na tem, że współcześni milczą o czynie Winkelrieda, który przecież, jako wielki i osobliwie wspaniały, byłby miejsce w kronikach znalazł.

Kto wie, jak kronikarze byli usposobieni dla stron walczących? Austria, jako Cesarstwo Rzymskie, miała za sobą duchowieństwo owych czasów, a przytem istnieje świadectwo równie ważne, pieśń starożytna, która bitwę pod Sem-

pach i czyn Winkelrieda opiewa. Stary jej język odpowiada chwili dziejowej, w której rzecz się spełniła i Szwajcaryja wierzy jej — wierzy, że Winkelried żył, działał, dokonał wiekopomnego czynu i sprawdzają się tu słowa poety¹⁾.

„Płomień przegryzie malowane dzieje,
Skarby spu-toszą mieczowi złodzieje:
Pieśń ujdzie cała, tłum ludzi obiega,
A jeśli podłe dusze nie umieją
Karmić jej wiarą, podsycać nadzieją,
Uchodzi w góry, do głązów przylega
I ztamtąd dawne opowiada czasy.”

Obchód półwiekowej rocznicy bohaterskiego w dziejach Szwajcaryi momentu odbył się bardzo wspaniale i tak, jak się odbyć był powinien: przy wielkim współudziale tłumów ludowych. Miejsce obranem zostało owe pole walki, gdzie pięćset lat temu popłynęła ofiarnie najszlachetniejsza krew ludzka — ukazujące się w perspektywie Jezioro Czterech Kantonów, otoczenie gór z lodowemi wierzchołkami, tworzyło wspaniałą scenę dla 500 śpiewaków i orkiestry złożonej z 40 osób. Uroczystość rozpoczęła się nabożeństwem w kaplicy żałobnej, która się powyżej nad polem bitwy znajduje. Jako pomnik wzniesiony poległym. Po nabożeństwie była mowa, potem wspaniały śpiew chóralny, któremu towarzyszyło 20,000 głosów, wreszcie przedstawienie dramatyczne — nie przy świetle kinkietów teatralnych, nie z malowanymi dekoracyami. Słońce lipcowe przyświecało znowu jasne i gorące z nieba bez chmury i dramat „Bitwa pod Sempach” grał się jak pierwotne greckie utwory dramatycznej Muzy przy jego świetle, a scena pierwsza przedstawiała spokojny obrazek sielski. Żniwiarze i żniwiarki wracają od roboty z polanek górnych, wychodzą naprzeciw nim mieszkańcy wioski i strzelce, który gdzieś daleko chodził, przyniósł wieść przestraszającą, że austriacki książę ciągnie z wielkiem wojskiem, i trwoga pada na lud przelekły. Ale oto nadciągają sprzymierzeni i okrzyk radości wybucha z wszystkich piersi, które przejmują zapal nagle i miejscowy lud sposobu się do obrony. Chór śpiewa pieśń odpowiednią, zbrojni ciągną na plac boju, kobiety tylko i dzieci zostają.

Modlą się, śpiewają na klęczkach pieśń nabożną, gdy oto przynoszą z pola walki rannych, pomiędzy którymi znajduje się wójt Lucerny Piotr von Gundoldingen. Ale nagle staje się zamieszanie: rycerze i giermkowie austriaccy przebiegają przez scenę — uciekają i wieść o zwycięstwie przylata, jak ptak skrzydlaty. Przynoszą ją w bezwładnych wyrazach wyrostki rozognione, z rozplamienionemi obliczami, aż nadciągają sami zwycięzcy i opowiadają ludowi czyn Winkelrieda. W końcu przybywa poczet główny ze zdobytymi chorągwami, pachołkowie noszą łupy wojenne: porzucone na polu bitwy miecze i kopie, owe kopie długie, których sноп potrzeba było Winkelriedowi wbić sobie w pierś, aby się otworzyła zwycięztwu ulica!

Ze wzruszonych piersi tłumy wybucha dumna, śmiała pieśń zwycięstwa, ale zaraz potem następuje pieśń wdzięczności dla Boga: pokorna, dziękczynna, która przemienia się znowu w żalostny tren — pieśń za poległych, gdy oto wnoszą zwłoki Winkelrieda na noszach z kopii austriackich i łączą się z orszakiem żałobnym wszyscy — łączą się publiczność z aktorami i następuje uroczysty pochód do Sempach, gdzie został wzniesiony pamiątkowy pomnik uroczystości, mieszczący we wnętrzu swem złożone dowody, iż Winkelried nie jest mytem, ale rzeczywistością, drogą Szwajcarom, której też usiłują dowieść, opierając się na świadectwach zebranych. Aby nie zaginęły one do reszty w biegu wieków, wszystko, co może utwierdzać wiarę w rzeczywistość Winkelrieda, odpisy świadectw dawnych, pieśni i wyciągu z ksiąg kościelnych wsi Nidwalden, oprócz tego wszystko, co obecnie pisano w tej sprawie za

1) Mickiewicz.

i przeciw—wszystko razem zebrane, urzędownie poświadczane, spoczęło wśród pomnika, nad którym straż przyjęła na siebie gmina miasta Sem-pach.

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż w Lipcu 1886 r.

Z początkiem Lipca, zwyczajnym trybem rzeczy, Paryż zmienił nagle swą postać. Teatra pozamykały bramy, zawiesiły przedstawienia do początku jesieni. Zamożniejsza część ludności schroniła się przed letnim skwarem, to pod cień Wogezów i Pirenejów, to na chłodne brzegi Oceanu. Ale Paryż gotów zawsze wyprawić jakąś niespodziankę; była nią w tym miesiącu apoteoza Lamartine'a, to jest odkrycie pomnika jego w Passy. Uroczystość tę zwiemy niespodzianką: od tylu bowiem lat mówiono i pisano o tym pomniku, iż wydał się w końcu jakimś bajecznym mytem ów myt jednak zmienił się w rzeczywistość.

Siedmnaście lat ubiegło od śmierci Lamartine'a. Mnóstwo posągów wzniesiono od tej doby w Paryżu na cześć mężów rozmaitej zasługi; a wielki mistrz słowa, jeden z najgenialniejszych poetów tegoczesnych, nie doczekał się dotąd zasłużonego hołdu. W dniu 7 Lipca otrzymał go nakoniec.

Wielbiciele poety ubolewają nad niewłaściwym wyborem miejsca na ów pomnik. Czemu—pytają—nie wzniesiono go, ani przed tym ratuszem, z którego mistrz piorunem słowa strącił niegdyś czerwony sztandar, ani przed Izłą deputowanych, o której ściany rozlegał się głos jego, ani przed Instytutem, którego był rzeczywistą chwałą, jako inicjator tegoczesnej poezyi? Czemu pomieszczono go w owym Passy, gdzie poeta zgrzybiały przed czasem przeżył ostatnie chwile w nędzy i opuszczeniu?

Natychmiast po śmierci Lamartina w 1869 r., dzienniki na wniosek Emila Girardin, ogłosiły subskrypcyą; zawiązał się komitet; zebrano 30.000 fr., na pomnik. Wykonanie powierzono rzeźbiarzowi Vasselot. Nim artysta przedstawił model, co nie zaraz nastąpiło z powodu wojny i obłężenia, umarł tymczasem Girardin, a Olivier objął po nim prezydenturę komitetu. Model nie przypadł mu do myśli, odrzucił go wręcz; ale Vasselot wytoczył sprawę przed trybunałem; wygrał ją i wykonał pomnik przez siebie obmyślony.

Rzeźbiarz przedstawił Lamartine'a siedzącego w krześle, z głową lekko na piersi pochyloną. Ubrany w surdut z wysokim kołnierzem według mody 1830 roku. Rysy oblicza regularnie piękne, pełne powagi i słodczy. Takim był Lamartine w czterdziestym roku życia. Pod krzesłem jego leży wyżeł, z głową wyciągniętą naprzód, wspartą na przednich łapach. Piedestał z marmuru lotaryńskiego, dotąd niewykończony. Na frontowej płycie czytamy prosty napis: *à Lamartine*, złożony z wypukło rzeźbionych głosek. Ów piedestał spoczywa na kobiercu z murawy opasanym grządką pąsowych geranii i białych stokrotek.

O godzinie drugiej pod żarem lipcowego słońca nadciągnął liczny orszak: na czele szedł p. Marmont, mer cyrkułu Passy, a zarazem prezes komitetu otoczony gronem członków, zanim deputacya z departamentu Sawony i Loary, rodzinnego niaza da poety, i mer z miasta Macon reprezentujący rodzinę. Następnie kanclerz Akademii Francuskiej, Sully-Prudhomme, przedstawiciel rodziny literackiej. Dalej minister oświecenia, delegacya senatu i izby deputowanych złożona z sześćdziesięciu osób, potem zastępca prezydenta rzezypospolitej, prefekt Sekwany i radcy magistratu; następnie towarzystwa literackie i dramatyczne, amiedzy niemi Cigolanie i Felibry prowansalscy. Kiedy orszak zajął miejsca naprzeciw posagu, spadło osłaniające go płótno, przy grzmiącym oklasku zgromadzonych.

Z trybuny, obitej axamitem ze złotą frendzlą, przemówił najpierw prezes komitetu, oddał posąg na własność Paryżowi, przypomniał, że o kilka kroków stąd, w skromnym szalecie, zamknął oczy wielki poeta. Prefekt Sekwany podziękował za dar imieniem miasta, poczem prezes izby deputowanych Floquet gorącym słowem uczcił w Lamartine'ie męża stanu i natchnionego oratora.

Pomijamy urzędową mowę p. Goblet ministra oświecenia; zatrzymamy się za to nad pięknym przemówieniem Arsena Houssaye, jednego z najczynniejszych członków komitetu i jednego z małej liczby tych, którzy znali Lamartina otoczonego chwałą. Mowa jego—to nie prosty panegirek, ale zarys epoki ważnej w literaturze i określenie miejsca, jakie zajmuje w niej Lamartine.

„Dzisiejsza apoteoza wobec Paryża i Francji, rzekł Houssaye, to akt najwyższej sprawiedliwości. W chwili śmierci Lamartine'a całun żalobny padł na jego pamięć; obojętni mówili: to całun zapomnienia, ale światło przemogło nad nocą.

„Można było zapomnieć tego, który przez ćwierć wieku tak silnie oddziaływał na drugich, wielkiego poety, który tchnął ducha w epokę swoją? Po głośniejszej epopei rewolucji i cesarstwa on karmił młode umysły przedświtem ideału. Słońce Chateaubrianda już zachodziło; Wiktor Hugo był ledwie szczytnem dzieckiem; Lamartine świecił wówczas i coraz wyżej dosięgał zenitu swego, aż do chwili kiedy, zmieniawszy rolę, a zawsze równie wielki, ukazał się na trybunie; przygasił blask wszystkich mówców i ożywił politykę ogniem swej poezyi.

„Wiek dziewiętnasty przybierał nowy zwrot, szedł naprzód dzięki Lamartinowi. I któż nie pamięta ze współczesnych, jak *Historia Żyrodistów*, napisana przez filozofa—poetę, rozplamieniała wyobraźnię! Przewrót 1848 roku był jego dziełem; gdyby go dalej poprowadził—mógł być stać się Mojżeszem nowym; lecz ten wybraniec Francji przez dzień jeden tylko zapanował nad wściekłą burzą.

„Pochłonięły go prądy.

„Odtąd czarna niewdzięczność oddziałała go w szatę Nessusa; poddał się, bo znał ludzi; pracował dla ludzkości, musiał przeto stać się ofiarą. Lamartine został wygnanem we własnym kraju.

„Po tylu tryumfach, opuszczony przez ogół, spełnił do dna pułap cykuty; konał z wielkością duszy Sokratesa, którego opiewał w cudnym poemacie.

„Pozostało mu tylko dwóch albo trzech przyjaciół. Gorzkie przebywał tu godziny, stroniąc od polityki, wydobywał z duszy młodzieńcze wspomnienia. Ściagał pamięć współczesnych, rozbiierał z miłością genialne ich utwory, ale z nim rzecz była skończona.

„Lubił tę ustron, która od Molière'a i Wiktora Hugo liczyła tylu znakomitych mieszkańców. Auteuil i Passy, to istny Olymp świecący nad Paryżem.

„Dziś, dodaje Houssaye, kiedy naturalizm rozlał się tak szeroko, chcąc odetchnąć pełną pierś, obróćmy oczy do Lamartine'a, który zamknął całą filozofią spirytualistyczną w jednym nieporównanym wierszu: „Człowiek to duch strącony, co zapamiętał swój niebiański początek!”

„Literatura żywotną jest atmosferą. Kto jej nie zacerpnął w dziełach Lamartine'a, ten nie ukrzepił ducha w najczystszej jej zdroju. U niego słowo i rym posługują zawsze myśli, a myśl wytryska zawsze z uczucia. Umiał połączyć wzniosłość pełną prawdy z prostotą.

„Do połowy tego wieku zachwycono się poezją Lamartine'a; odtąd inne powiały u nas prądy. Gardzimy pięknością, która nas upokarza, bo przerasta owiele miarę naszą. Moda sztydzi z liryzmu, a moda rządzi umysłami.

„W świecie poezyi różę tylko i gwiazdy są nieśmiertelne. Przyroda ów poemat Boży, nie wyjdzie nigdy z mody, gdy tymczasem poeci, najwięksi nawet, tracą kolejno wziętość. W zapasach starożytnych z nowożytnymi: sztydzono z samego nawet Homera! Akademia pomiałała Kor-nelowskim „Cydem”; Pani de Sevigné zapowiadała, że moda Racine'a przejdzie wraz z modą

kawy, Voltaire nazwał Shakespeare'a pijanym bar-barzyńcą.

„Ale my wróćmy jeszcze do Lamartine'a, jak do żywego zdroju. Zwolennicy śmietników literackich zatęsknią do tej poezyi, co łączy w sobie głębokie poczucie prawdy z najwyższem pojęciem ideału.”

W tymże duchu przemówił Sully-Prudhomme w imię akademii. Znakomity poeta pojął geniusz Lamartine'a; miłośnik ideału odczuł idealistę.

„Któryż, pyta on, ze współczesnych mi poetów, śmiały wyznać, że nie zawdzięcza nie Lamartine'owi? My wszyscy od dzieciennych lat wzrosliśmy nawskroś przeniknieni, ojczyzną atmosferą drgającą jeszcze podzwiekami jego liry!

„Słuszną jest, a dziś konieczną rzeczą przypomnieć młodym, którzy o tem może zapomnieli, że każdy twórczy umysł w narodzie, nawet najoryginalniejszy, czy chce, czy nie chce, związany jest solidarnie z wielkimi wzorami, prawem spadku, węzłem tradycji, a szczególnie siłą zachwyty, jaki w nim rozbudziły. Sam Lamartine ulegał takim wpływom. Azaliż w „Medytacyach” jego nie podzwania czasami echo poematów Ossyana, któremi karmił się w młodości? Mimo to przecież pozostał prawdziwie samodzielnym.”

Przebiega akademik czasy niesłychanych przewrotów, jakie wstrząsały Francją w końcu zeszłego wieku, czasy wielkich tryumfów, a następnie czasy wielkich klęsk w początkach bieżącego stulecia.

„Po tych gwałtownych wstrząśnieniach zbudziła się tęsknota za wyższym ideałem. Chateaubriand poetyczną prozą przygotował nowy zwrot w umysłach. Wówczas to „Medytacje” Lamartine'a poważne i harmonijne, jak dźwięk organów, zabrzmiały do taktu z ogólnym nastrojem duszy ludzkiej, wywołały też zachwyt powszechny, melodyjność wiersza francuskiego objawiła się po raz pierwszy w całym uroku. Sztuka po raz pierwszy porzuciła sztuczne ozdoby. W każdej zwrotce podzwania tętno zbolełego lub też rozradowanego serca. Słowem objawił się twórczy geniusz. Lamartine mówi o sobie:

Jam śpiewał w uniesienia chwili,

Tak, jak człowiek oddycha, jak ptaszyna kwili,

Jak szepcze woda, gdy płynie.

„Melodyjna śpiewność, właściwa poezyi Lamartine'a, rozwijała się coraz bardziej, aż doszła do szczytu w *Harmoniach poetycznych*. Każdy odczuł w nich jakoby echo własnych uczuć. Ileż-to łez potoczyło się na stronicach tej książki! Wszelkie uczucia, tak miłości, jak żalu i tęsknoty, znalazły tu odpowiedni wyraz. „Mam za sobą kobiety i młodzież—mawiał poeta—obejdę się bez reszty.”

(Dokończenie nastąpi)

DAWNI I NOWOCZEŚNI.

III.

Machiavelli.

....Od trzech wieków kamienują wielki i majestatyczny posąg twórcy „Traktatu o księciu”, tej książki, o której kardynał Polus rzekł, iż pisana jest ręką szatana, a którą jeden z Benedyktynów radził oprawić w skórę węża, niby „san-be-nito” niegodziwości, i pomieścić we wszystkich bibliotekach chrześcijaństwa.

Tysiące wariantów wytworzono z dwuznacznych wyroczeni tajemniczego sfinxa. Jedni przypisują książce tej straszliwą ironią, podobną do owej proroka z Biblii, pławiącego się w niego-dziwościach; inni widzą w niej tygrysią pułapkę, podsunętą Wawrzyńcowi Medycejskiemu, któremu Machiavelli zadedykował swe dzieło. Miała to być przynęta przewrotności, podsunęta tyra-

nowi, izby rozpasal się na zbrodnie, a przez to uległ nienawiści i śmierci. Inni nareszcie dopatrują się w niej zimnej operacji chirurga politycznego, który wskazuje książętom organa i sprężyny władzy, coś niby *Lekcja anatomii* Rembrandta, w której mistrz kraje trupa na marmurowym stole wobec ponurych swych uczniów. Trzymając się jednak tekstu tylko, trzeba książkę tę uważać za wytwór naturalny epoki szczególnej.

Nie zapominajmy, że napisana ona została w czasach, kiedy ziemia trzęsła się pod anarchią, najazdami i wojnami domowymi, w czasach, kiedy wszelkie pojęcie prawa, oprócz obrony własnej, znikło ze świata, kiedy krew ludzka mniej cenna była od wody w fontannie. W tej ciemno zabarwionej, ale i wzniosłej Italii XVI w., istota nieszkodliwa, czy nią był książę, czy poddany, ginęła w mgnieniu oka. Życie było walką, dom—fortecą, ubranie—pancerzem, gościnność—zasadzką, uścisk—uduszeniem, kielich podany—trucizną, ręka wyciągnięta—pchnięciem sztyletu. Ojczyznę rozdierały stronnictwa wewnętrzne i barbarzyńcy pchający się z zewnątrz; wróg stał u wrót, bunt na ulicy, sprzysiężenie w kościele, rozbój po wsiach, wszędzie zdrada, wszędzie nienawiść, wszędzie nieufność, wszędzie śmierć.

Machiavel robi swego „Księcia” według modły epoki, nad którą książę ma zapanować. Kąpie go, ażeby się stał niezwalczonym, w Styxie krwi rozlewającej się pełną strugą; wykuwa mu na swem chłodnym kowadlu zbroję obłudy, udawania, celem zasłonięcia go od najprzenikliwszych spojrzeń; przyzwyczajają go do okropności, jak Mitridates przyzwyczajają się do jadów zatrutych. Zapewne, jest to ohydne, lecz powtarzamy: było to w duchu epoki.

A potem nie zapominajmy najwyższego uniewinnienia tej potępionej księgi, jej ostatniego rozdziału: *Przypomnienie księciu wyswobodzeniu Włoch od barbarzyńców*, owego hymnu godnego Tyrteusza, który wybucha, jak chór bohaterski trąb, stwarzając fatalną uroczystość sakryfikowania dla zbawienia narodu... Ten książę, którego Machiavel żywi, jak drapieżnego ptaka, krwiożerczemi axiomatami i równie krwawymi doktrynami, ma uchwycić za gardło wroga, wściekły, uzbrojony, nieubłagany; przeciw niemu—to ostrzy jego szpony, ćwiczy lot jego w zdradliwych kręgach i obrotach, i w napadach niespodzianych, przeciw niemu nęci go dziką strawą wycieńczono i powalonego na ziemię ludu.

Atoli, gdy się już raz zgańło księgę „Księcia”, jakże wielkiem nazwać potrzeba życie Machiavela!

Był on z rasy tych, których *królestwo jest z tego świata*, którzy urodzili się na to, ażeby kierować ludźmi i sprawami. Młodość przepędza w ambasadach, w sprawowaniu interesów Florencji u boku papieżów, cesarzy i królów. Przeciw Cesarzowi Borgia wprowadza w bój po raz pierwszy swą dyplomacją walczącą. Cezara nie krępuje Machiavel; obmyśla on i wykonywa swe zbrodnie wobec niego, z ohydą pogodą potępienia i z wykończoną doskonałością artysty. Machiavel nie tylko, że zawiadamia o tem rząd florencki, ale przepowiada proroczko jego zamysły, czyta we wnętrznościach potwora, jak augur w trzewiach swej ofiary, a potem, gdy Cezar padł, ukazuje Włochom słabe strony jego dyabelskiego pancerza, który zdawało się, iż kuty został w ogniu piekieł.

Nadchodzi chwila przywrócenia Medyceuszów: Rzeczpospolita pada, a Machiavel, w niełasce, usunięty zostaje od polityki, będącej jego żywiołem.

Spiskuje: wiąże go i biorą na tortury, ażeby wycisnąć z niego zeznanie. Lecz tyle to pomogło, co brać na tortury posąg ze spiżu. W końcu Medyceusze przywracają go do łaski i wtedy dopiero zaczyna się jego męka: męka działalności skrytej i geniuszu żrącego samego siebie.

Wielki mąż stanu, wygnany do swego folwarku w San-Casciano, trawi się tam z nudów i z gniewu. Błaga Medyceusza o zajęcie, o zarząd, o jakąkolwiek rolę „choćaby obracania młyńskiego kamienia.” Przypomina on w tej chwili lwa zgłodniałego zebrzącego o strawę. Chciano w tem położeniu widzieć jego upadek; było to tylko

wstrząśnienie wielkiej i przytłumionej siły, która rozbija się w próżni. Co go obchodziły nazwiska rządzących: Medyceusza lub Soderiniego, Leona X lub Klemensa VII-go! On chciał działać, dyskutować i przekonywać, pracować dla swej Florencji...

Medyceusze lekają się tego wszechpotężnego pracownika, a wtedy mąż praktyczny rzuca się w teorię. Tworzy swe nieśmiertelne *Rozmowy o Tytusie Liwiuszu*, swą historią *Castruccio Castracani*, swoją cudowną opowieść *Belfegor*; zaostriża i wykończy miłośnicie styl rzeźbiony księgi o *Księciu*; grupuje wkoło siebie, w ogrodach Ruccelai, dekameron polityczny, którego jest wyrocznią.

Ale ani praca ani abstrakcja nie mogą go uleczyć z gorączki, która go zwolna wysusza. Nieczynność cięży, jak kopuła ołowiana dantejska, tej duszy, pełnej porywów; ażeby od niej uciec, rzuca się na śmierć w ramiona orgii i pijaństwa... Tak czyni mąż stanu, zgębiony upadkiem swej ambicji idealnej. Trzeba go czytać, gdy w uniesieniu radości sardonicznej, ogłasza całemu światu swój upadek, ciskając ku niebu, więcej aniżeli krew swoją, bo błoto.

„Codzień—pisze do swego przyjaciela Vettori—chodzę do szynkowni, są tam zwykle: gospodarz, rzeźnik, młynarz i dwóch wypalaczy wapna. Łajdacze się—m'ingoglio!—z nimi, grając w *crica*. Powstają tysiączne kłótnie i obelgi... tak tarzając się w podłosciach, chronię mózg swój od spleśnienia, ujawniam złośliwość mego szczęścia, rad, że mnie ono depcze nogami i ciekaw wstyd czy go nie ogarnie.”

Szczęście, ta ślepa bogini nie zawstydziła się jednak: gdy zdawało się, że w kilka lat później powraca doń, to tylko dla tego, ażeby go oszukać i zdradzić.

Medyceusze godzą się z nim nareszcie, pierwszym zaś aktem ich łaski jest wysłanie go jako ambasadora do... klasztoru Kapucynów. Chodziło o jakiś błahy spór klasztorny. Poszedł tam biedny człowiek. Czyż może być krwawsza ironia losu, aniżeli danie takiej sprawy w tę prawicę potężną, która kuła losy rządów i państw! Machiaveli sędzią wozowie mnichów!

Najazd wojsk cesarskich skłania nareszcie pałę Klemensa VII do zawezwania Machiavellego na pomoc Włochom. Zjawia się on jako bohater w zagrożonym Rzymie, rozsypuje w kilku dniach skarby geniuszu, wymowy i nagłych pomysłów. Zdobyte Wieczne Miasto sprowadza go do Florencji, gdzie wciąż pełen werwy przeplatanej łkaniem śmiechu, ukazuje się nam wśród zarazy, oszałały, chory z namiętności czynu a szukający z gwałtowną namiętnością śmierci w miłości. Taksamo Rzymianie ostatnich czasów Cesarstwa otwierali sobie z rozkoszą żyły, z których krew wyciekała do wonnej łaźni azjatyckiej.

Resztki życia Machiavela były jednym pasmem niełaski, nudów, opuszczenia i powolnego konania. Wskrzyszona rzeczpospolita we Florencji obeszła się z nim, jak ze zwolennikiem Medyceuszów i nie przyjęła jego usług. Powrócił do swej samotni w San-Casciano z piorunem w piersiach, powtarzając zapewne melancholijną apostrofę Dantego: *Popule mi, quid feci tibi?* Usychał zwolna, długo, pojony gorączką. Wygnany z tego świata, w którym złożył swe nadzieje, schronił się do drugiego. Pod koniec życia rozmyślał tylko nad wiecznością. Umarł, rozczarowany, gorzki, zraniony w serce, nie wierząc w nic, tylko w krzyż, który stał się pociechą ostatnich jego chwil...

DOBRA KRÓLOWA.

(Nie—powieść)

(Dokończenie)

Był to człowiek rzadkiej miary i hartu, zachował bratowej dotychczasowe jej stanowisko, otoczył ją najtkliwszym staraniem. Widząc zaś,

iz przebyte nieszczęścia dotkliwie się na jej zdrowiu odbiły, namówił ją do podróży po Europie. Oddawna pragnęła ona zwiedzić ojczyznę swego dziada, a otrzymawszy zaproszenie do Windsoru, wypłynęła z Honolulu z wiosną 1865 roku. W Stanach Zjednoczonych krótko tylko zatrzymała się orszak królowej; pilno jej było do Europy, gdzie tak królowa Wiktorya jak i cesarstwo francuskie jaknajświeższe i najżywcze jej zgotowali przyjęcie. Zimę spędziła we Włoszech, aby następnego lata do Honolulu tążsamą powrócić drogą. Można się było spodziewać, iż osoba, która nie wyjrzała poza swoje wyspy rodzinne, dozna pewnego olśnienia na widok cudów cywilizacji starego świata, jakkolwiek nieozłoconych zwrotnikiem słońcem. Tymczasem dziwne z tej wędrówki odniosła wrażenia: bogactwa, gmachy, arcydzieła sztuki, blichtr zewnętrzny, wewnętrzne zasoby Europy—wszystko zgasało i zbladło w obec jednego górującego uczucia bólu i grozy, wywołanego widokiem nędzy z którą poraż pierwszy królowa Emma bezpośrednio się zetknęła. W słonecznej jej ojczyźnie nikt chłodu, ni głodu wśród bujnej nie zaznał przyrody. Ratowała ona chorych i smutnych, ale biednych nie spotykała w szczęśliwej zwrotnikowej państwa swego strefie. Nędza będąca, niestety, wykitem hypercywilizacji, ukazała się oczom dobroczynnej królowej poraż pierwszy. Gdy wróciła do ojczyzny, wciąż, zamiast pamięcią wracać do wspomnień Windsoru lub Tuileryów, upornie wznawiała obrazy nędzy, które przyćmiewały jej wszelkie świetne owej podróży wrażenia. Ukości się nie mogła nad niedolą mieszkańców europejskich stolic, a pocieszała się wciąż myślą, iż jej Bóg żyć przeznaczył na wyspach wyjątkowo uprzywilejowanych, gdzie warunki klimatyczne, i społeczne pozwalają uniknąć nędzy lub też ubóstwo czynią znośniejszem. Ma się rozumieć, iż to wszystko spotęgowało jeszcze jej zapal do czynów miłosierdzia; cały też czas i dochody poświęcała umoralnieniu i podniesieniu swego ludu.

Dziewierz jej, szlachetny Kamechamecha V, zapraszał ją do kierowania, jak dawniej, domem i dworem królewskim. Królowa Emma zawsze mu dopomagała w przyjęciach i uroczystościach dworskich, popierała go w zamiarach, nie szczędziła mu rad dobrych; atoli, nie wychodząc poza kres niewieściich wpływów, głównie wciągała monarchę w sferę swej dobroczynnej działalności. Nazywał ją też żartobliwie swym ministrem jałmużnikiem, a uwielbiając ją od lat wielu, zapragnął ściśnięć przyjazny węzeł rodzinny, łączący go z bratową. Naród dla względów dynastycznych żądał, aby się Kamechamecha V ożenił; cześć jego i rosnąca miłość do wdowy po bracie, nie pozwalała mu o innym myśleć związku. Powstrzymał Emmę od powtórnych ślubów żal po utraconym małżonku, a bardziej jeszcze skrupuły religijne wobec prawa anglikańskiego, zabraniającego siostrę po siostrze lub brata po bracie zaślubić—co, jak wiadomo, przeszkodziło upragnionemu związkowi księżniczki Beatryxy angielskiej ze szwagrem jej księciem heskim. Przyjazny stosunek z królem nie uległ przez to zmianie; Kamechamecha do końca zachował rycerskie dla niej uczucia. Ale przeszedłszy fatalną czterdziestkę, Kamechamecha V, przedwczesną swą rodziną przeznaczonym, umarł nagle i z nim ukochana dynastia zstąpiła do grobu. Ubóstwiający „dobrą królową” naród, chciał ją wynieść na tron i w jej ręce złożyć rządy. Złamana nową żałobą, odnawiającą tyle wspomnień bolesnych, cofnęła swą kandydaturę i pierwsza poddała się obranemu nowemu monarsze, Wiliamowi Lunalilo. Ten wszelako zaledwie trzynaście miesięcy na tronie pozostawał, złamany owym nieładem życia, który już męża Emmy zabił. Przez kilka miesięcy zdumiewał Lunalilo spokojem, wstrzemięźliwością, aż nagle, zakosztowany kieliszek wina czy wódki, sprowadził szal wielodniowy, orgią bezduszną a zapamiętałą, która zbudziła uśpioną dzikość a wycieńczała organizm. Przy wyborze nowego po nim następcy uboższa ludność tak się uparła o przeprowadzenie kandydatury swej ukochanej królowej, że gdy elekcyja, odbyta w łonie zgromadzenia narodowego, ogłosiła królem Dawida Kalakua, rozrażone zawodem pospólstwo, wpa-

dło do gmachu rządowego, aby wszystko zabrać, połamać, zniszczyć. Przyszło nawet do krwi rozlewu, mimo usiłowań Emmy, aby fanatyczne przywiązanie ludu uspokoić i przekonać swych wielbicieli, że nad korony, miłszem jest jej ciche ustronie gdzieby swobodnie mogła się poświęcać pobożnym myślom i praktykom, oraz miłosiernym uczynkom. Nikt też na nią nie spędził odpowiedzialności za te burzliwe zajścia. Nowy monarcha pośpieszył z przyznaniem jej dawnych tytułów i przywilejów.

Odtąd jednak wycofała się stanowczo z widowni politycznej i dworskiej.

W tej czarownej krainie, malowanej cudnymi barwy przez wszystkich, co ją zwiedzili, dobra królowa coraz sobie lepiej zasługiwała na legendy już tytuł z jej nazwiskiem związany.

Umarła w Marcu roku zeszłego, nie dobiegłszy jeszcze pięćdziesiątego roku życia, a zostawiając wśród prostej ludności wysp Hawaj wspaniałą pamięć cnoty i prawdziwego miłosierdzia. Spłaciła dynastji Kamechamechów dług niegdys przez jej dziadka zaciągnięty, gdy pierwszy tego domu założyciel, opuszczonemu majtkowi angielskiemu ocalał życie i zapewniał przyszłość szczęśliwą. Jeśli John Young dopomógł Kamechamesze I do założenia tronu, wnuczka jego Emma tron ten ustaliła miłością i miłosierdziem. Postać jej rysuje się wdzięcznie na czarnym tle tych modrych fal Południa, okalających wyspy piękne wśród najpiękniejszych, bogate, wśród najbogatszych. Powieść o angielskim marynarzu i jego wnuczce, królowej, zakrawa na fantazję z „Tysiąca i jednej nocy“, jednak karta to rzeczywistości, z dziejów ludzkich wyrwana.

Nie zacierają się podobne przykłady: nie wiadomo jakie losy czekają szybko z kolebki wychylającą się cywilizacją Wysp Hawaj. Tyle pewnego, że potomność tak będzie wspominać tam królową Emmę, jak my dotąd wspominamy Jadwigę, Kunegundę lub Annę Jagiellonkę.

K. Nałęcz.

Z DZIAŁU PRZYRODY.

I.

Z kroniki najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Nowe materje użytkowe w ustroju roślinnym. — Tworzenie się alkaloidów w chorobach. — Szyny papierowe. — Pompa bez tłoka, wynalazek chiński. — Hamulec Lemoine'a. — Nowy pocisk z nitrogliceryny, zastosowany w artylerji. — Rezultaty odbytych z nim doświadczeń. — Aliaże fosforu i krzemu. — Nowowykryte ślady przemysłu z epoki przedhistorycznej. — Pokarm z bawełny! — Nowy bruk. — Zużytkowanie dymu. — Pasożyt buraków. — Jak go tępić? — Nowe drzewo produkujące gutaperkę. — Roślina elektryczna. — Jej wpływy. — Olbrzymi dąb kopalny. — Prastare kolosy w państwie flory.

Nowe poszukiwania Fremy'ego i Urbain'a, dotyczące ustroju roślin, wydały ciekawe i wielkiej wagi rezultaty. Fremy złożył Paryżkiej Akademii Nauk raport z dokonanych doświadczeń w przedmiocie otrzymywania rozmaitych materji z roślin i wskazał drogi na jakich można wydzielać nowe produkta z tkanki roślinnej. Oprócz znanych materji komórkowych, istniejących w stanie izomerycznym, Fremy wykrył trzy ciała: peктоzę, waskulozę i kutozę.

Ta ostatnia materyja, którą moglibyśmy nazwać naskórkiem, zasługuje na szczególniejszą uwagę; tworzy ona błonę, osłaniającą wszystkie

organa roślinne wystawione na wpływ powietrza. Znajdujemy ją na powierzchni płatków korony kwiatowej, na liściach i łodygach. Fremy otrzymał znaczne ilości tej materji. Na listkach bluszczu istnieją błony jej tak delikatne, że ich prawie niepodobna zważyć. Liście agawy wytwarzają błonę pergaminową w wielkiej ilości. Kutoza jest rodzajem materji tłuszczowej, zawierającej około 60% wodoru i węgla; pali się ona podobnie jak tłuszcze i opiera działaniu prawie wszystkich odczynników. Kutoza daje się przechowywać w stężonym kwasie siarczanym w którym, pozostając przez dwa do trzech dni, nie doznaje żadnej zmiany. Natomiast działanie alkaliów zmienia kutozę, wytwarzając dwa kwasy: jeden prawie płynny, lepki; drugi w stanie stałym. Kwasy te, wystawione na wpływ powietrza, ciepła i światła, ulegają wielce ciekawym transformacyom; będąc przedtem rozpuszczalnymi w alkoholu i eterze, stają się nierozpuszczalnymi i wytwarzają pierwinową kutozę. Ta ostatnia zmiana zachodzi bez współudziału powietrza, gdyż można jej dokonać w rurach zamkniętych hermetycznie.

Wszystkie te nowo wykryte ciała mogą mieć szerokie zastosowania w przemyśle. I tak w cukrownictwie peктоza może wytworzyć, wskutek zaszczej w niej zmiany, ciało przeszkadzające krystalizowaniu się cukru; zadaniem przeto cukrowników jest wydzielenie peктоzy. — Materyja ta istnieje w tkankach włóknistych konopi, Inu i t. p.; potrzeba ją zniszczyć, chcąc przedsięwziąć otrzymanie.

Waskuloza (naczonkówka) jest wielce użyteczną w zastosowaniach; znajduje się ona w wielkiej ilości w drzewie, przeważnie wytworzonem z materji komórkowych i waskulozy. Drzewo można przetworzyć, jak wiadomo, w cukier, działaniem kwasu siarczanego na jego miazgę; kwas chlorowodny wytwarza tenże sam skutek. Otrzymujemy w ten sposób 50% glukozy czyli cukru owocowego, operując na trocinach drzewnych. Waskuloza pozostała po przetworzeniu trocin w cukier nie jest straconą dla przemysłu, gdyż przez dystrylację można z niej pozyskać ocet.

Ponieważ wszystkie te ciała wykryte przez Fremy'ego są rozpuszczalnymi w alkaliach, poszukiwano: czy ta ich własność może być zastosowaną do wyrobu tkanin, a to za pośrednictwem oczyszczenia ich odczynnikami alkalicznymi. Tą drogą pozyskano rezultaty zdumiewające. Operując na konopiach, otrzymano materyję włóknistą, niewiele różniącą się od jedwabiu.

Len i konopie, obciążone są wielką ilością waskulozy i kutozy, co pozwala przetwarzać ich włókna w rodzaj jedwabiu; przez oczyszczenie odczynnikami alkalicznymi, otrzymujemy zawsze ciała jedwabiste; operacją należy wówczas uważać za ukończoną, gdy materyja staje się rozpuszczalną w kwasie siarczanym.

Wiadomo, że ze zwłok ludzkich i zwierzęcych, uległych zgniliznie, można otrzymać charakterystyczne alkaloidy. Otóż obecnie chemik francuski Villiers pozyskał nowy alkaloid z organów cholerytyków, oraz dzieci zmarłych w skutek zapalenia oskrzelo-płucnego (Bronchopneumonia), wynikłego po przebytej odrze.

Jedno z tych dzieci liczyło lat trzy, drugie ośmnaście miesięcy; podczas zaś swej choroby żadnego alkaloidu wewnątrz nie przyjmowały. Sekcją odbyto we dwadzieścia cztery godziny po śmierci.

Alkaloid znaleziony w tych warunkach był płynnym i posiadał woń ostrą, wywołującą ki-

chanie wskutek silnego drażnienia nerwów nozdrzowych. Smak jego nie przedstawiał nic wybitnego; kropla jego roztworu, spoczywająca na języku, sprowadzała wkrótce szczypanie ostre, długotrwałe. Dwuwęglany alkaliczny wydzielają z łatwością ten alkaloid, a eter zabiera go z roztworów wodnych.

Alkaloid ten istnieje w płucach, wątrobie i nerkach; różni się zaś całkiem od tego, jaki otrzymał Villiers z organów cholerycznych. Zachodzi pytanie: czy oba te alkaloidy, tak różne od siebie, są tylko produktami drugorzędnymi, wydzielającymi się w miarę wytwarzania się ich w organizmie, czy też są rzeczywistymi sprawcami choroby? Studya odbyte na zwłokach dzieci wyżej wspomnianych, skłaniają Villiers'a do podzielenia tego ostatniego przypuszczenia. Zaznaczyć też potrzeba, że Villiers wydzielił z wątroby, z płuc i nerek dziecka dwuletniego zmarłego na błonicę (Diphteritis), alkaloid przedstawiający te same własności i reakcje, co wydzielony z organów dzieci zmarłych z zapalenia oskrzelo-płucnego. Oba te alkaloidy były identycznymi.

Nie ulega to już prawie wątpliwości, że alkaloidy tworzą się w czasie choroby, a temsamem, że są jej zabójczymi rozsądnikami.

Od pewnego czasu koła do wagonów kolei żelaznych zaczęto wyrabiać z papieru prasowanego. Obecnie jedno z towarzystw amerykańskich próbuje w fabrykacji szyn zastąpić stal papierem. Uytkovanie z szyn papierowych przedstawia następujące korzyści:

Cena ich będzie conajmniej niższą o jedną trzecią część od ceny szyn stalowych, a zużycie się ich nastąpi w nierównie dłuższym czasie, gdyż czynniki atmosferyczne nie mają prawie żadnego wpływu na papier prasowany. Nadto lekkość materyału dozwala wyrabiać szyn owiele dłuższe od stalowych, a temsamem w biegu wagonów uniknie się wstrząśnień nużących pasażera, a co za tem idzie, i szybkiego zużycia się taboru kolejowego. Wreszcie koła parowozu lepiej przystają do takich szyn niż do stalowych, a machina parowa będzie mogła ciągnąć większą liczbę wagonów, co znowu wpłynie na zmniejszenie kosztu pociągu odbywającego drogę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Sprostowanie.

W Nr 28 „Bluszczu” w „Kronice działalności kobiet”, mylnie podano liczbę osób wyuczonych kunsztu koronkarskiego, powinno być nie 300, lecz 2,156; — liczba zaś udzielających lekcje koronkarskiwa wynosi 300.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 9-ty powieści pod tytułem: **Bez miłości**, przez Florencją Marryat.

TREŚĆ. Pogawędka. — Boży gniew, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego — W Szwajcaryi. — Nowiny paryżkie. — Dawni i nowocześni, przez Pawła de St. Victor. — Dobra królowa, (Nie-powieść), (dokończenie) przez K. Nałęcz. — Z działu przyrody, przez W. Niewiadomskiego. — Dodatek obejmuje: Arkusz 9-ty powieści pod tytułem: **Bez miłości**, przez Florencją Marryat. — 28 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycją stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 16 Іюля 1886 года.